

665

Teatr

Sztuka Głowackiego jest amerykańskim obrazkiem rodzajowym, który chciałby stać się metaforą

WIECZÓR Z HOMLESAMI

Publiczność nie wypełniła sali teatralnej do końca. Było chłodno, elegancko, bez emocji

W dniu warszawskiej premiery w Teatrze Ateneum najnowszej sztuki Janusza Głowackiego „Antygona w Nowym Jorku”, poświęconej *homlesom* – pozbawionym domu mieszkańcom nowojorskich parków, kilka ulic dalej trwały ostatnie przygotowania do ewakuacji i likwidacji schroniska dla bezdomnych w łaźni Dworca Centralnego. Telewizja pokazywała reportaże, rozgłosnie radiowe nadawały wywia-

mieszczono dokładną mapę Manhattanu z zaznaczonym Tompkins Square Park, miejscem akcji sztuki. „Chodzę tam często na spacer z wnuczką” – uzupełnił Jan Kott.

Wraz z kolejnymi informacjami o ewakuowaniu bezdomnych z Centralnego uświadamiałem sobie, jak daleko rozminęli się Głowacki i Kott z polskimi widzami. Jak zabójcza dla intelektualisty operującego emocjami bywa emigracja. Im bardziej oni chcą dać wyraz prawdzie Nowego Jorku, tym bardziej dla nas pachnie to anachroniz-

„teratr uzupełniający”). Mieści w sobie: trochę absurdu, który może i chciałby być „beckettowski”, ale wyraźnie jednak wywodzi się z Mrożka; trochę realizmu publicystycznego (co reżyser, Izabella Cywińska, zrozumiała chyba nazbyt dosłownie, powiększając jeszcze wrażenie niestosownego anachronizmu, gdy występującemu w roli policjanta Henrykowi Talarowi kazała podjąć „rozmowę z publicznością” w rodzaju: „Czy państwo wiedzą, co jest najważniejsze w demokracji? Proszę, pani w trzecim rzędzie!?” Zagadnięta dama jęka: „Chyba wolność...” „No, bardzo dobrze. A jak pani w piątym rzędzie uważa...” itd.); wreszcie trochę ambicji klasycystycznych, z nieuzasadnionym odwołaniem do „Antygony” Sofoklesa.

Sztuka Głowackiego pozostaje jednak amerykańskim obrazkiem rodzajowym, który chciałby stać się metaforą. W warszawskim, szacownym, mieszczańskim Teatrze Ateneum okazała się chłodnym popisem aktorskim Piotra Fronczewskiego w roli polskiego, bezrobotnego i bezdomnego emigranta Pchełki oraz wyważoną opowieścią o pewnym rosyjskim Żydzie, Saszy, którego znakomicie zagrał Janusz Michałowski.

Publiczność nie wypełniła sali teatralnej do końca. Było chłodno, elegancko, bez emocji. Obawiam się, że i bez refleksji. Może byłoby inaczej, gdyby do Ateneum zaproszono na jedno z przedstawień wyrzuconych z Centralnego bezdomnych (mimo wszystko wolę skojarzenia z Żeromskim niż polonijną nowomowę rodem z Greenpointu) i zapytano ich o zdanie. Oni śmierzdzą, więc śmierzdziałoby i w teatrze. Ale może właśnie o to chodzi, a nie o przepytywanie eleganckich dam z definicji demokracji?

Teatr Ateneum w Warszawie:
Janusz Głowacki, *Antygona w Nowym Jorku*, reżyseria: Izabella Cywińska, scenografia: Jerzy Juk-Kowarski, opracowanie muzyczne: Wojciech Borkowski. Premiera w lutym 1993 roku.

Tomasz Raczek



Piotr Fronczewski jako polski emigrant Pchełka i Janusz Michałowski w roli rosyjskiego Żyda Saszy

dy z wyrzucanymi. Bezdomni śmierzdzą, przynoszą wstyd naszemu miastu, powinni zniknąć ze śródmieścia – wyrażali swoje zdanie zagadnięci przechodnie.

W Teatrze Ateneum nie było bezdomnych. Ich miejsca zajęli *homlesi*. To dlatego, że w słowie „bezdomni” za dużo skojarzeń z powieścią Stefana Żeromskiego – wyjaśnił w programie przedstawienia Jan Kott. Obok za-

mem. Nie dlatego, żebyśmy żyli w innych światach. Żyjemy w takim samym świecie! Z tymi samymi problemami! Ale przeżywamy je jako swoje, nie eksytując się ich powierzchowną egzotyką ani nie dorabiając do nich filozofii.

„Antygona w Nowym Jorku” jest przeciętną sztuką teatralną, zgrabnie dopasowaną do wymagań niskobudżetowych, kameralnych teatrów nurtu „fringo” (co można określić jako

Fot. A. Rybczyński/CAF